

Przekleństwo



WŁADYSŁAW ORKAN

PŁANETY

Przekleństwo

Mijają dni za dniami — jednakie, szare, monotonne...

Ludzie chodzą tu i tam, jak owce po ugorach, kiedy padnie rok suchy, trawa nie urośnie i nic się nie zieleni po kamienistym tłoku, nawet i osty poschną, pokruszą się od wiatru, nawet i osty... Jedyna macierzanka rośnie i trujący mlecz. Ale tych owce nie jadają.

Tak ludzie chodzą, jak te owce, szukając paszy po tej ziemi.

Spotykają się, gwarzą, potem znów idą dalej z oczyma utkwionymi w ziemię, szukając, czegoby nie znaleźć...

— Byliście tam?... i jakże?... — pytają się wzajem.

— To, co i tu...

— Niema nic?

— Wszędy pustka i pustka i pełno ludzi wszędy...

Przechodzą obok siebie cicho, obojętnie. Nawet głów nie podnoszą, rozmawiając z sobą. I mijają się gromadami, przechodzą jedni drugich, a kto mocniejszy — idzie przodem, wyprzedzając innych.

Wielu ma nogi spięte, podobnie, jak te owce, którym się nogi spina, żeby nie biegały. Chodzą drobno i, ocierając piętami kostki, krwawią je... Czasem zapominają, że są spięci, i czynią ruchy, jakby mieli iść szerokim krokiem. Wtedy się plączą i padając, uderzają czołem o kamienie ostre po drodze. A czasem, chcąc dogonić idących na przedzie, mimo spętania okrwawionych stóp, rozpoczynają skoki, jak te wrony, z zagonu na zagon. Częstokroć jednak potykają się o nierówności ziemi i muszą, zadyszani, spoczywać na miedzy; tymczasem inni przechodzą łącno; nawet ostatni dziad, o jednej nodze, równa się z nimi.

— Potem już, nauczeni, godzą się z swym losem, drobia, jak Bóg przykazał, drobia za innymi udeptanym śladem... Przywykli.

Idący na ostatku, schorzali i starzy, dyszą piersiami ciężko, jak miechem kowalskim, stają co chwile na mały wypoczynek, łapią wargami powietrze, do znaku tak, jak pstrągi, gdy woda na przykopie wyschnie — i wleką się znów za innymi bezustanku, wiecznie, zbierając to po ziemi, co pierwsi odejdą.

A w oczach wszystkich ostających w tyle tli się powoli ogień nienawiści; wiatr wagle rozdmuchuje — poczynają świecić... Złowrogie światło pada na ich twarze i krwawi je podobnie, jak odblask słońca po zachodzie, gdy padnie na rolę i wilgotne, szare skiby oczerwieni rdzą.

Tajona zawiść w sercach żarzy się i płomieni, zawiść, powstała w słabości bezradnej, zawiść gromadna o paszę, o wodę, którą wypily gromady, przodujące w tej szarej życia smutnego podróży.

Ktoś odkrył źródło życiodajne. Zanim zeń woda trysła białą strugą — już się zgruchnęła wielka mnogość ludu, którzy zepchnęli onego odkrywcę, depcząc po jego ciele, i dokoła źródła uczyniła się ciżba gęsta spragnionych napoju.

Nagle ktoś z nadchodzących, widząc, że się nie dociśnie, zawołał: „Ludzie! To źródło trujące!”

A miał głos ochrypły od wiatru i słyhać go było daleko.

Przestrach ogarnął najbliżej stojących, cofnęli się — i zamieszanie wielkie powstało w całym tłumie, podobnie, jak w mrowisku ruchliwym, gdy się gałązkę rzuci między mrówki, a one poczną odchodzić od zmysłów, jakby już nastał dla nich ostateczny dzień.

I jak mrowczyce, które, gdy się upamiętają, znoszą tarnie jałowca, ziemię i cetynę i dorzucają na spadłą gałązkę, aby ją przykryć — tak ludzie, z przerażenia wyszedłszy i lęku, biorą garściami darnie, żwir i piasek i gorączkowo ciskają w to źródło, aż się zakryje doznaku i woda wróci do ziemi.

Mała tylko różnica dwóch podobnych czynów. Oto mrówki obróciły szkodę na pożytek, czyniąc z drobnej gałązki podwalinę budowy górnych piątr — a ludzie tryskające na pustyni źródło, które im duch odkrywcy wydobył z pod skały, wieczny zdroj życia — obrócili w nic.

I to sprawił jeden bezmyślny okrzyk.

Potem, wierząc, że zabili truciznę, radują się wielce pomiędzy sobą, zapominając o gło-dzie swoim i pragnieniu.

A odchodząc, żegnają krzyżem świętym zarażne miejsce i dziękują wdzięcznym sercem swojemu Bogu, że ich wybawił od niechybnej śmierci i od zatracenia wiecznego.

I dalej, dalej po tej ziemi bez wypoczynku idą, w znużeniu sennem, jak te owce, blakające się po tłoku jesienią.

Dokoła szarość i posucha, zieloność wszelka znikła, jak przed zimą, kiedy się wszystko w utajone życie zamienia.

Ołowiane niebo cięży i przygniata dusznością parną, w chmurach opadających więzi promienie słoneczne, by nie dobiegły ziemi i gorącymi pocałunkami nie wlały ognia, tętna, krwi, na nowe odrodzenie.

Posępność biała siada na omszałych kamieniach; za nią włóczy się nuda, owa zwiastunka życia poza śmiercią, bezkrwistego życia umarłych.

Pustka i pustka — pośród niej gromady rozpierzchłe straconych dusz, poszukujące wszędzie paszy dla mizernych ciał swoich. A gdy ją najdą, powstaje walka między niemi i dopóty trwa, dopóki słabsi nie ustąpią, lub się walczący srodze i zajadle nie wytracą wzajemnie.

Każdy jednak rzuca hasła powszechnego pokoju, tem głośniejsz, im więcej pozabijał ludzi, którzy kiedyś, ongi jeszcze, nazywali się jego braćmi.

Na grobie jednych pożywiają się drudzy i, modląc się za umarłych, cieszą się życiem. Spokojni w sercach swoich, póki mają przed oczyma łąki zielone.

A bywa również pomiędzy owcami, że niektóre, zamyślane o zielonej trawie, idąc po ugorach za paszą, zajdą bezwiednie aż nad potok, nad samo urwisko... Stają nagle na czterech nogach — pozierają w dół — a trwoga je ogarnia i lęk taki straszny, że nie mają prawie siły cofnąć się... Patrzą w przepaść szeroko otwartymi oczami — a wełna im się trzęsie, bo skóra cała drży... Ta otchłań czarna u ich stóp — prawie bez dna i granic — dziwną ma moc nad niemi... Rzekłby kto: urok śmierci... Coś ich tam pociąga — coś okropnego — czarny smok... Odchodzą i wracają nazad, a we łbie im się maci, jakby im z pod nóg uciekała ziemia. Nie poznają ugorów, po których się paszały przez tyle, tyle lat — nie poznają nawet swoich owiec — odmienił im się cały świat...

Tak bywa nieraz pomiędzy owcami; bywa i między ludźmi, ale rzadziej...

Mało jest takich, którzyby śmierci mogli zajrzeć w oczy, a nie ulękli się jej i nie dali porwać. Mało ludzi, którzyby, stanąwszy nagle nad urwiskiem, spojrzeli okiem aż do dna — chociażby otchłań ta bezdenną była — a potem powrócili z dumą ludzi smutnych, którzy widzieli śmierć...

Ci mogą być mistrzami życia.

Daleko więcej bywa ślepych, pośród tych gromad idących za paszą, którzy, z utkwionym wzrokiem w ziemię, chodzą ponad przepaścią i nie widzą jej.

Aż ziemia pocnie im się usuwać z pod nóg — wtedy czują, że coś się dzieje, ale nie wiedzą jeszcze, co... Dopiero huk lawiny i lecących bryl otwiera im przerażeniem oczy, ale już zapóźno! Pod nimi otchłań — nic ich nie zatrzyma — nic ich nie zbawi... Nic...

Oto, jak marnie giną te gromady owcze, które stają nad urwiskiem ślepe... (Ufajmy Bogu!).

Czas wlecze się — a ludzie idą bez ustanku, wciąż.

I mijają się wzajem cicho, obojętnie, jakby się nie widzieli i nie znali się. Serdeczność i uczucie i litość i żal i cały słownik anielskiej rozmowy jest im ze słuchu znany dobrze, lecz go nie rozumieją. Inne bowiem mają u nich znaczenie wyrazy, którymi kiedyś przemawiały matki, żony, kochanki, bracia, przyjaciele.

Miłość — tę nazywają obowiązkiem i najczęściej miewają go na ustach swoich.

Żenią się często między sobą, albowiem, jak mówią, łatwiej jest we dwoje szukać pożywienia i nie tak się cnie, jak samemu człowiekowi, chodzić po tej ziemi, po szarym piasku. Jedno pomocnem jest drugiemu, jedno za drugim nosi tobołki podróżne, zlorzcząc losom, które ich związały przysięgą na całe życie, aż do śmierci.

W tej szarej wędrowce pustynnej zdarzają się drobne wypadki, które już spowszedniały doznaku i nie pochłaniają niczyjej uwagi.

— Ktoś umarł...

— Ktoś umarł nagłą śmiercią...

— Musiało mu się sprzykrzyć i poderżnął się...

— Zato komuś urodziło się dziecko...

— Urodziło się zato naraz troje dzieci..

Urodziło się i więcej na swoje nieszczęście, na wieczną biedę i na wieczny ból.

Śmiechów nie słychać, jeno gwarę cichą i nieustanną, jak bulkotanie drobnej rzeczki, szemrzącej po piasku.

Jak owce po ugorach, wśród pustki nieskończonej, kiedy rok suchy, nieurodzaj, trawa nie urośnie, tylko jedyna macierzanka i trujący mlecz — chodzą gromady potraczone, mijają się, krążą, przechodzą obok siebie cicho, obojętnie i znów dalej, a wkoło, bezustanku, wciąż...

Tak ludzie chodzą, jak te owce, szukając paszy po tej ziemi...

Mijają dni i lata płyną — jednakie, szare, monotonne...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-przeklenstwo/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).